

Studenckie casus belli

4 marca 2011

Sejmowe głosowanie z 4 lutego przeszło w mediach niemalże niepostrzeżenie. Najpopularniejsze serwisy informacyjne, karmiące się na co dzień przepychankami pomiędzy politykami i wieloma tematami zastępczymi, nie podały nawet informacji o tym, że posłowie przegłosowali tego dnia ważne zmiany w szkolnictwie wyższym. Dla goniących za sensacją dziennikarzy rzeczywiście była to kiepska pożywka. Gdzie tu bowiem szukać jakiegoś fajerwerku, skoro nieliczne komentarze na temat reformy szkolnictwa wyższego były jej niemal w całości przychylne. Nowelizację ustawy poparli wszak m.in. rektorzy Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich wraz z częścią uczonych (np. z Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej), a także Krajowa Reprezentacja Doktorantów i Parlament Studentów RP. Krytyczne głosy dało się słyszeć co najwyżej wśród przedstawicieli akademickich związków zawodowych (wszak nie od dziś wiadomo, że związkowcy to roszczeniowe i wiecznie niezadowolone lenie) i wśród części naukowców PAN (ci w oczach pismaków jawią się jako grupa zadufanych w sobie, konserwatywnych profesorów). W Sejmie zaś za niezadowolonych robili posłowie PiS-u, a za wahających się – SLD. Zwieńczenie owej reformatorskiej idylli stanowiła uśmiechnięta twarz minister Kudryckiej, która powtarza co rusz, że reforma jest „wybitnie prostudencka”.

Warto zatem podjąć próbę wypełnienia owej zmowy milczenia, przerywanej od czasu do czasu nieśmiałymi komentarzami, i wziąć pod lupę dokonujące się zmiany. Sytuacja nie jest bowiem różowa – i nie trzeba być skończonym buntownikiem, by to dostrzec.

Najbardziej niebezpieczną nowinką, którą niesie ze sobą nowelizacja ustawy o szkolnictwie wyższym, jest wprowadzenie częściowej odpłatności za drugi kierunek studiów. Pewnie, że bezpłatność studiów i tak jest obecnie często fikcją. Niemniej

jednak zgoda na to, by bezpłatnie studia na drugim kierunku mogło kontynuować jedynie 10% najlepszych studentów, oznacza jednocześnie przyzwolenie na pogłębianie nierówności społecznych. Dlaczego bowiem ktoś, to osiągnął lepszy wynik na maturze ma zrezygnować z podjęcia studiów na drugim kierunku jedynie dlatego, że nie będzie go na to stać?

Można oczywiście stwierdzić, że przecież wystarczy się porządnie przyłożyć do nauki i znaleźć w gronie najlepszych, a problem z odpłatnością okaże się mrzonką. Tak prosty schemat nie oddaje jednak realiów. Wypadałoby raczej zapytać, dlaczego poziom wiedzy studenta jest sprawdzany w tak niemiarodajny sposób. Praca wykonana podczas całego semestru jest przecież oceniana przez pryzmat jednego testu bądź wrażenia, które żak wywrze na profesorze podczas kilkunastominutowej rozmowy egzaminacyjnej. Czasem ewentualnie wykładowca spojrzy jeszcze na ocenę końcową, uzyskaną z proseminarium, które z definicji narzucać ma pewną regularność w poszerzaniu wiedzy i na bieżąco ją sprawdzać. I to jednak często pozostaje czystą teorią. Jeśli prawo do studiowania ma być uwarunkowane osiągnięciami, to niech najpierw te ostatnie będą kontrolowane w rzetelniejszy i mniej uzależniony od przysłowiowego „widzimisię” sposób. Tego obszaru „prostudencka” reforma jednak nie dotyka.

Często poparcie dla częściowej czy całkowitej odpłatności za studia wynika z powielania stereotypów na temat studentów, które – jak to stereotypy – są często uproszczone, a wręcz prostackie. Jasne, że część żaków podejmuje naukę na uniwersytecie po to, by przedłużyć sobie dzieciństwo i zaznać beztroskiego życia na garnuszku rodziców. Trzeba jednak naprawdę złej woli albo niechęci, by nie dostrzec wśród studentów sporej liczby pasjonatów, którzy wkładają w naukę wiele serca i trudu. Kwestią zasadniczą nie jest tutaj zatem dostępność do wyższej edukacji (która w demokratycznym społeczeństwie powinna być możliwie jak największa), tylko jej poziom.

Kolejny argument za odpłatnością wpisuje się poniekąd w owe umoralniające stereotypy. Oto niektórzy piewcy tego rozwiązania podnoszą, iż studenci dwóch kierunków to często cwaniaczki, chcące zapewnić sobie lepszą pozycję na rynku pracy. Jednak stawiając taką tezę należałoby również postawić pytanie, z czego wynika ów pęd do uzyskania jak największej ilości papierków, które nierzadko służą jedynie jako wypełniacz CV? Odpowiedź nietrudno zgadnąć – bierze się on z troski o byt i walki o miejsca pracy. Skoro pracodawcy życzą sobie wykształconych pracowników, to ci, którzy niebawem mają trafić do ich firm muszą przewyższać w ilości dyplomów koleżanki i kolegów. Widać tutaj po raz kolejny skrajnie elitarny charakter takiego rozwiązania – osoby już na starcie zamożniejsze będą miały jeszcze lepszy start na rynku pracy; nawet przy faktycznie niższych zdolnościach od uboższych konkurentów.

Nowelizacja, wprowadzając częściową odpłatność za drugi kierunek studiów, oznaczałaby zatem stygmatyzację ekonomiczną mniej zamożnych absolwentów. Tendencja do pogłębiania nierówności majątkowych obecna jest w wielu dziedzinach życia i sprowadza się do barbaryzacji stosunków społecznych. Stopniowo w kolejnych sferach coraz mniejsze znaczenie będą miały wrodzone i nabyte zdolności, a coraz większe – urodzenie w zamożnej rodzinie.

Nietrudno bowiem dostrzec, że stopniowy demontaż „socjału” to równia pochyła. Jeżeli społeczeństwo zezwoli liberalnej władzy na odebranie części praw w jednym aspekcie życia, to przy kolejnej reformie nie zawaha się ona postąpić analogicznie z kolejną sferą. Dlatego też zapędy minister Kudryckiej, które mogą stanowić preludium do wprowadzenia całkowitej odpłatności za studia, powinny stanowić groźne memento dla wszystkich, którym leży na sercu jakość i dostępność do edukacji. Wszak wszyscy jesteśmy jej beneficjentami.

Równie, a może nawet jeszcze bardziej niepokojącym (choć chyba rzadziej komentowanym) aspektem nowelizacji ustawy o

szkolnictwie wyższym jest przeniesienie części środków ze stypendium naukowego na stypendia socjalne, co w istocie sprowadza się do znacznego ograniczenia – a zapewne w dalszej perspektywie całkowitego zniesienia – owej formy finansowej motywacji dla osób najbardziej przykładających się do nauki. O ile oczywiście zwiększenie dostępności i podniesienie kwot stypendiów socjalnych dla najbiedniejszych żaków byłoby właściwie i pożądane, o tyle zdziwienie czy wątpliwości budzić musi fakt ograniczenia nagrody pieniężnej dla najpilniejszych; i to w systemie, który ponoć promuje zdolne i pracowite jednostki.

Ów patologiczny stan rzeczy tłumaczyć można oczywiście typowym lamentem, że przecież jest kryzys i Polska nie ma pieniędzy. Jednak i taka argumentacja skłaniać może jedynie do szyderczego uśmiechu – nawet jeśli przez łzy. Zabawny jest fakt, że twierdzenie o braku środków na ten czy ów cel stanowi często argument ostateczny wszelakich debat o polityce społecznej. Zupełnie, jakby nie dostrzegano faktu wydawania mnóstwa pieniędzy na cele, których realizacja w rzeczywistości przysłuży się jedynie górnej warstwie społeczeństwa. Polskę stać przecież na budowane za gargantuiczne sumy stadiony, na które przyjdą i tak tylko ci, którzy będą w stanie pozwolić sobie na zakup biletu za co najmniej kilkadziesiąt złotych. Władza nie waha się utopić wielu milionów złotych w instalowaniu w miastach i miasteczkach podświetlanych pomników, fontann i grających ławek, które mają wpaść w oko przedstawicielom klasy średniej i zachęcić ich do osiedlania się i otwierania firm na danym terenie, choć raczej obiekty te nie wpływają dodatnio na poziom życia mieszkańców. Włodarze chętnie łożą ogromne środki na wojny w różnych częściach świata, choć zwykli obywatele nie mają z nich bezpośrednich korzyści. I tak można by wymieniać.

Nie brak zatem środków. Brak prospołecznej polityki, która opierałaby się na zarządzaniu nimi w taki sposób, żeby korzyści z podejmowanych inwestycji mieli wszyscy. Optymizmem

może jedynie napawać fakt, iż nawet część studenterii – uważanej często za popierający Tuska monolit – dostrzega, że coś jest nie tak. Wprawdzie jak na razie sprzeciw sprowadza się przede wszystkim do internetowej dezaprobaty dla antystudenckich pomysłów minister Kudryckiej. Z drugiej jednak strony przekonanie, że w tak biernym jak polskie społeczeństwie niezgoda części obywateli na pomysły władz wyciągnie ich od razu na ulice i skłoni do organizowania wielkich protestów, to myślenie naiwne i życzeniowe. Tak czy inaczej fakt pewnego fermentu – choćby jedynie na Facebooku – musi budzić nadzieję. Dowodzi on wszak, że część żaków uznała pomysły minister Kudryckiej za casus belli.

Autor: Piotr Kuligowski

Źródło: [Lewica](#)